Rok IV. Katowice, dnia 10 listopada 1931 r. Nr. 16.



NA TROPIE

PISMO MŁODZIEZY POLSKIEJ

Wychodzi
10-go i 25-go każdego miesiąca.

M. E. Kazimierowicz (Gdynia).

ŻEGLARZ.

Zagubiona przez Boga, gdzieś na oceanie,
wyspo szczęśliwa, kędy kwiat paproci kwitnie!
płynę do cię, nie bacząc czyli mi zaszczytnie
dobić przyjdzie, czy w pierwszym zginąć huraganie.

Jawi mi się, w potopie słońca, brzeg twój złoty,
i tańczące na brzegu hawajskie księżniczki —
cicha przystań dla mojej łodzi-wędrowniczki,
oraz lasów palmowych zielone namioty.

Już między koralowe kieruję się skały,
i na wiatry rozpinam swego statku żagle —
gdy się we mgłę rozpływasz i uciekasz nagle!

Choć się nieraz miraże twoje w mgłę rozwiały,
sił mi do dalszych trudów i ochoty doda,
czekająca u brzegów twych na mnie Przygoda!



ZOFJA KOSSAK-SZCZUCKA.

PRZYJACIELE.

17)

— A ja pójdę szukać Topsia...

— Jakim sposobem?

— Piechotą.... będę zarabiał po drodze... Teraz żniwa, o robotę łatwiej... Oho, dam sobie doskonale radę... Cóż to, czy ludzie tak nie robili? Niedawno gazety pisały o takim co wiersze pisze i cały świat miał obejść piechotą bez pieniędzy... Wakacje się dopiero zaczęły, a Przemyśl nie jest na końcu świata... Zdążę . . .

— Pięknie, — a dlaczego ja mam powracać do domu?...

— No, bo,... dlaczego miałbyś cierpieć za moją głupotę...

Urwał, bo Władek dobrotliwie stuknął go butem w głowę.

— Twoja głupota rośnie z każdą chwilą — stwierdził opuszczając nogę — naprawdę myślisz, że wrócę?... Chcesz w kark porządnie za kogo mnie masz? Harcerz jestem, czy baba z za pieca?!..

— Och, Władek, więc razem!? Julek zerwał się na równe nogi.

— Tak — rozważał starszy — sam pomysł ci się udał... Mamy wędrować ze wstydem do domu, lepiej bez wstydu szukać cyrku. Grunt, aby zacząć, to jest, aby mieć choć parę groszy w kieszeni... poczekaj... Zmarszczył brwi, zastanawiając się pilnie.

— Mamy właściwie ze sobą masę rzeczy niepotrzebnych, nawet luksusowych, które moglibyśmy sprzedać... rzekł nakoniec.

— Naprzykład co? — zapytał Julek z ciekawością.

— Naprzykład trzewiki... teraz lato, można doskonale wędrować boso...

— To prawda! Świetna myśl! ja zaraz sprzedaję moje....

O przepraszam... Ty nie masz prawa, bo one nie są właściwie twoje... Mama ci je kupiła... Co innego ja; te właśnie trzewiki kupiłem za własne najwłaśniejsze pieniądze zarobione z lekcji — rozumiesz?

Julek westchnął ciężko, uznając jednak słuszność tego wywodu. Niemniej ściągnął trzewiki za Władkiem. Boso, z obuwiem w plecaku, a nowym zapasem energji i zapału w sercach, pobiegli chyżo do miasta.

W niedługim czasie udało im się otrzymać od pewnego starego handlarza starzyzną sześć złotych za trzewiki Władka, warte trzy razy tyle. Uradowani z tak nadspodziewanie pomyślnej transakcji, zrobili potężny wyłom w swych zapasach, opili się wody u studni i w świetnych humorach, wyprzedzani przez Lupusa pognali na stację. Wysławszy do domu pocztówkę z doniesieniem, że w ślad za „Glorią" jadą do Przemyśla, — (inne szczegóły woleli skromnie przemilczeć) opuścili wreszcie niewdzięczny Lubliniec.

*

W dziesięć czy jedenaście dni później, obaj chłopcy wraz z nieodstępnym Lupusem, wędrowali gościńcem wiodącym z Rzeszowa do Jarosławia. Byli spaleni na mahoń, bosi i zadowoleni. Od wyjazdu z nieszczęsnego Lublińca nieźle im się powodziło. Do Krakowa dojechali koleją. Od Krakowa szli piechotą dojadając resztek ostatnich zapasów, gdy spotkali szereg furmanek wiozących ryby w beczkach. Żywe ryby, w taki upał! Dozorca transportu zgodził się podwieźć obu wędrowników, a nawet dać im coś zjeść, byle przy każdej okazji dolewali świeżej wody do beczek. Wykonywali sumiennie to zadanie z płócien. putniami, biegnąc kłusem nieraz po pół kilometra ku połyskującej zdala sadzawce lub strudze. Zadyszani, zlani potem doganiali sunący powoli tabor. Przyjemnie było odsłonić mokrą szmatę, zakrywającą otwór i spojrzeć z bliska w huczącą czeluść beczki, poruszające się w niej leniwo oliwkowe giętkie grzbiety i pluskające ogony. Potem przez sito, z wysoka, by rozkroplona woda nabrała w siebie jak najwięcej tlenu i słońca, dozorca lał przyniesioną wodę, a chłopcy w skok bieżyli po drugą i trzecią. Konie i ludzie odpoczywali w cieniu. Lupus ział z wywieszonym językiem. Po krótkim postoju ruszano dalej i znów gdzieś niedaleko na grząskiej łące migotała struga, do której pędzili chłopcy po nową dawkę życia dla umęczonych ryb — aż powolni woźnice, kiwali głowami nad ich gorliwością.

...Starają się jak o swoje... stwierdzał Pacuła fornal, ze zdziwieniem.

Strasznie chytre do roboty — dodawał Grzegorz Wąsik, dozorca.

Tęż samą opinję po przybyciu na miejsce powtórzył Wąsik właścicielowi ryb, leśniczemu Polańskiemu, zarządzającemu wielkim kompleksem lasów i stawów państwowych, który „chytrym do roboty" harcerzom, ofiarował u siebie zajęcie przy żniwie. Dwa złote dziennie na głowę, życie dla nich i dla psa. Przyjęli skwapliwie i pracowali rzetelnie sześć dni. Leśniczy był to stary człowiek, dziwak, samotnik. Stronił od ludzi, żyjąc za to blisko ze zwierzętami. Był wymagający i ludziom z trudnością przychodziło go zadowolnić, chłopców jednak polubił odrazu. Podobało mu się, że nie zwracają się do domu o pieniądze i że przedsięwzięli tyle trudów dla odzyskania psa.

Pierwszy raz spotykam przyzwoity stosunek człowieka do zwierzęcia — mawiał do nich wieczorem siedząc na ganku. Po skończonej robocie wołał ich bowiem do siebie na wieczerzę, poczem rozmawiali jeszcze z godzinę. Choć chłopcy po całodziennej pracy setnie byli znużeni, siedzieli chętnie, słuchając z zapartym oddechem opowiadań jego o zwierzętach leśnych. Znał obyczaj każdego, mądrość i wybiegi. Nieporównaną przemyślność wydry, jej dom kunsztowny, półziemny, pół wodny. Chytrość szczupaka czołgającego się jak wąż po rosie do sąsiedniego stawu, przedziwną zmyślność i przebiegłość kuny.

— Kilkadziesiąt, ba może kilkaset tysięcy lat człowiek żyje ze zwierzętami i nie zna ich jeszcze zupełnie — dowodził stary. Niszczy je, wyzyskuje, ujarzmia, lecz nie zna! Gdy pozna wreszcie, pycha jego znacznie spadnie, ileż razy bowiem człowiekowi wypadłoby rumienić się wobec zwierzęcia.

— Nie wszystkie jednak zwierzęta są równie mądre...? zaryzykował Julek.

— Nie wszystkie? — powtórzył drwiąco leśniczy — ejże, czy to nie jedno z tych przywidzeń ludzkich, pozbawionych wszelkiej podstawy? Na czem opierasz mniemanie, że nie wszystkie zwierzęta są mądre?

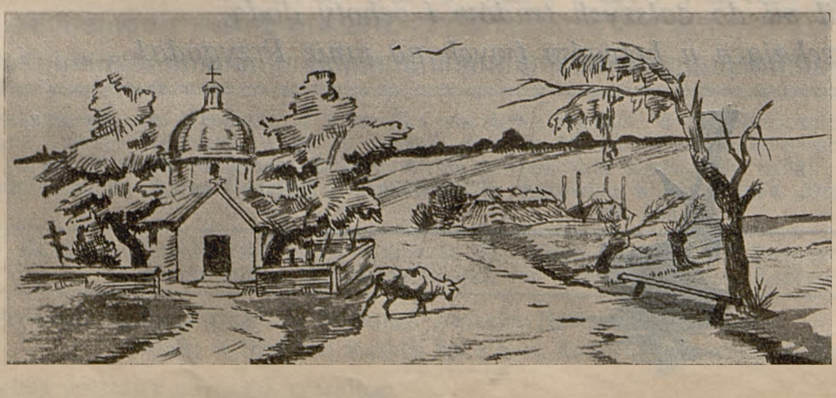
...No, bo... naprzykład osioł...

— Osioł! synonim głupoty! trudno wybrać lepszy przykład! Mogę was moi drodzy zapewnić,, że właśnie mało jest stworzeń równie mądrych, pracowitych, mężnych i wytrzymałych jak osioł. W tem pociesznem karykaturalnem stworzeniu spotkać można nieraz istne skarby cierpliwej inteligencji, lub humoru. Miałem sam tego niezliczone przykłady, gdyż u rodziców moich był osioł, który pracował w ogrodzie. Cóż to było za miłe, śmieszne zwierzę. A mądre! Co tydzień, gdy był targ w miasteczku, przychodził do nas pewien handlarz, kupował warzywa i jechał z niemi do miasta. Pożyczał w tym celu osła, którego potem wracając zostawiał. Pewnego razu zaszło coś między niemi, co skłoniło osła do stanowczego buntu. Jeździł do miasteczka codziennie po parę razy, ale z żydem nie chciał. Sobie tylko wiadomym sposobem poznawał czwartek, dzień targowy i uprzedzając przybycie handlarza, znikał zawczasu. Co tydzień obmyślał sobie nowe kryjówki. Wsuwał się naprzykład tyłem do małego ciasnego kurnika i starannie zamykał drzwi od wnętrza. (C. d. n.).

Dlaczego Indjanie na okładce?

Prezentują się nam oni w całej wspaniałości swego stroju, aby dowieść, że istnieją. Żyją oni w rezerwatach, gdzie mają zabezpieczoną zupełną swobodę i znajdują się pod opieką rządu amerykańskiego. „Na Tropie" pisało o nich szerzej w 5-ym nrze z b. r.

(Zdjęcie Fox-Filmu z obrazu p. t. „Droga Olbrzymów".)



Szalone Auto.

4)

Wszyscy obecni wyciągają szyję, zatrzymując oddech. Nawet Zośka przestaje szlochać.

— Odkrył... ich.. kryjówkę — cedzi wolno i z wahaniem Witek.

— Kryjówkę? Gdzie? Jaką? mówże po ludzku!

Ale Witek nie odpowiada. Oczy jego, rozszerzone śmiertelnem przerażeniem, utkwiły w jakiejś obcej twarzy za oknem, która wyłoniła się nagle za plecami fornali. Ta twarz zbójecka, ze skośnemi oczami, zionie płomienną groźbą. Witek widzi wyraźnie pięść, podnoszącą się w górę z wyraźną pogróżką. A w tej pięści błyszczy nóż. Zjawa znika błyskawicznie, zanim ktokolwiek inny zdołał ją zauważyć. Ale wyraz twarzy Witka odbił się nagłem przerażeniem na twarzach obecnych. Wszyscy nagłym ruchem zwracają się ku oknu. W tej chwili dzieje się coś nieprzewidzianego. Witek z nagłą determinacją wyskakuje przez okno i w szalonym pędzie biegnie wzdłuż wysokiego parkanu, przesadza go z akrobatyczną zręcznością i znika w łanie kukurydzy za płotem.

— Trzymać, łapać! — krzyczy sędzia zrozpaczony, że nić tak ciekawie rozpoczętych zeznań zerwała się nagle w najważniejszym momencie.

Do sędziego przypada Marylka.

— Panie sędzio — szepce wzburzona — to był obcy człowiek. Pogroził Witkowi pięścią, a w pięści miał błyszczący nóż. Widziałam dobrze.

Sędzia ociera spocone czoło. Zawiele naraz tych sensacyj.

— Zwołać tu wszystkich fornali! — rozkazuje grzmiącym głosem. — Przecież ktoś musiał go widzieć, niepodobna, żeby obcy mógł się dostać niepostrzeżenie na pełen ludzi dziedziniec.

Marylka, korzystając z zamieszania, wybiega na podwórze. W osobnem zagrodzeniu koło stajni ujadają wściekle dwa ogromny brytany, szarpią się na łańcuchach i skaczą na sztachety, jakby chciały je rozwalić.

— Naturalnie poczuły obcego, jeszcze jeden dowód! — myśli Marylka. Podbiega do zagrodzenia, odpina z łańcucha psy, które radośnie zaczynają się do niej łasić okręcając sobie mocno łańcuchy koło dłoni, wybiega razem z psami boczną furtką w pole. Brytany z groźnym pomrukiem rwą się naprzód.

Po krótkiem wahaniu Marylka wybiera ścieżkę, wiodącą na urwisty pagórek za dworem. Widać z niego duży obszar ziemi. Biegnie więc pod górę równym, rytmicznym krokiem, a psy radośnie tańczą koło niej na krótkich łańcuchach.

Nagle dziewczynka staje i nakazuje psom ciszę. Wyraz zdziwienia maluje się na jej twarzy. Chwilkę stoi i słucha, a potem, przyspiesza kroku.

— To motocykl — mówi do siebie. — Kto może mieć motocykl w naszej okolicy? Nie słyszałam!

Ze szczytu urwiska Marylka dostrzega odrazu tuman kurzu, posuwający się z ogromną szybkością na drodze ku lasom, czerniejącym w dali. Drobny, mały przedmiot mknie, jak błyskawica, chwilami w tumanie kurzu widać sylwetkę pochylonego nad siodełkiem człowieka. To obcy przybysz. Ale gdzie jest Witek?

Bacznem spojrzeniem dziewczynka przebiega okoliczne pola. Naturalnie jest i Witek. Widać wyraźnie jego płową czuprynę nad wysoką trawą łąki. A teraz biegnie na przełaj przez kartoflisko. Sadzi olbrzymiemi susami, jakby myślał, że zdoła dogonić motocykl. Jakiż on niemądry! Witek dobiega do szosy, zatrzymuje się, ogląda uważnie ślad, zostawiony przez motocykl, a potem wolniej już biegnie za śladem. Żeby mu tylko nie zrobili nic złego! Cóż on może poradzić sam jeden, taki mały, przeciwko tajemniczej i widocznie dobrze zorganizowanej bandzie?

Marylka próbuje wołać, ale wiatr od nosi jej głos; zresztą odległość jest zbyt wielka, żeby głos ludzki mógł do chłopca dolecieć. Więc westchnąwszy z zatroskaniem, wraca do dworu, wybierając teraz inną drogę. Dochodzi do łąki, rozciągającej się tu aż pod ogrodzenie dworskie. Na łące widać głęboką bruzdę stratowanej i zgniecionej trawy. Tędy podkradł się do dworu nieznany złoczyńca. A tu był oparty o wierzbę motocykl, widać odcisk kół na miękkim piasku. Na szosie są także ślady. Ten ślad lekki i już na wpół zatarty, to było widocznie wtedy, kiedy powoli podjeżdżał do dworu. A stąd zaczyna się gwałtowna ucieczka. Musiał pędzić co siły, bo koleina głęboko wrzyna się w ziemię, a na zakręcie koło odwaliło cały płat ziemi, jak skibę.

— Trzeba będzie przyprowadzić tu pana sędziego... — mówi sobie Marylka. I zaczyna rozmyślać nad dziwnem zachowaniem się Witka. Jest rzeczą widoczną, że nie chciał mówić wszystkiego, ale dlaczego? Jaką tajemnicę powierzył mu ten biedny Florek? Pan sędzia będzi może myślał, że Witek jest w zmowie z właścicielami tajemniczego auta. Każą go pewnie chwytać. A tymczasem Witek napewno ma jaknajlepsze zamiary. Marylka zna go od dzieciństwa, chował się przecież przy dworze. Jest dzielny, dobry i szlachetny. Czemuż nie zwierzył jej się ze swą tajemnicą?

Powoli, tonąc w głębokiem zamyśleniu, Marylka wraca do dworu. Odprowadza psy do zagrodzenia i przywiązuje je mocno do haków. Jest tak roztargniona, że nie odpowiada nawet na ich czułe umizgi i odchodzi, nie popieściwszy dwóch wiernych łbów, które łaszą się do niej z cichem skomleniem.

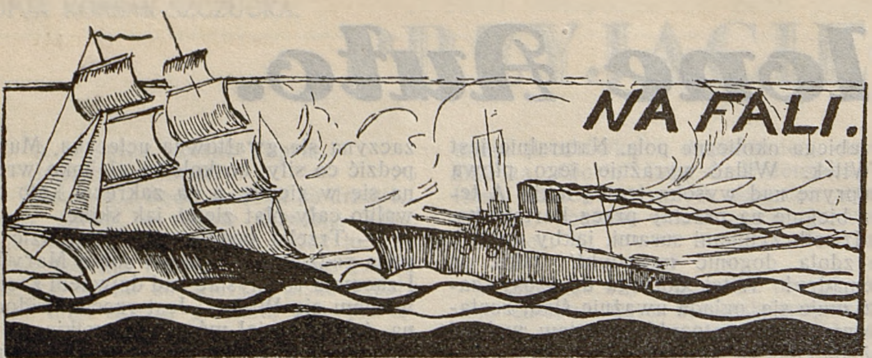
We dworze niestrudzenie toczy się śledztwo. (C. d. n.)



Punkt zwrotny w komunikacji powietrznej.

Dotychczas używano powszechnie w aeroplanach silników benzynowych. Mieszankę benzyny i powietrza, przygotowaną w t. zw. gaźniku albo karburatorze, zapalano w cylindrach elektrycznie zapomocą t. zw. świec, przyczem prądu elektrycznego dostarczał t. zw. magnet. Otóż jeżeli idzie o cenę materjałów popędowych, to benzyna jest dziś rzeczą dość drogą. Przytem niebezpieczeństwo zapalenia się benzyny poza cylindrami z powodu krótkiego spięcia, lub wysokiej temperatury gazów jest duże.

W kwietniu br. niemiecka fabryka płatowców oddała do dyspozycji publiczności nową maszynę „Jumo 4", wyposażoną tym razem w silnik ropny Diesla. Silnik taki zapewnia komunikacji lotniczej ogromne korzyści. Wiemy, że ciężka ropa jest znacznie tańsza od lekkiej benzyny. Bezpieczeństwo lotu przy użyciu silnika ropnego Diesla jest nieporównanie większe od bezpieczeństwa lotu przy użyciu silnika benzynowego. Punkt zapalności ropy leży powyżej 80° C, czyli możliwość zapalenia się poza cylindrem jest prawie wykluczona. Oprócz tego w silniku ropnym Diesla nie potrzebujemy ani t. zw. świec (których zanieczyszczenie jest tak często powodem defektów silników benzynowych !), ani też magnetu, wytwarzającego prąd elektryczny (t. zn. że możliwość krótkich spięć wykluczona!), gdyż mieszanka ropy i powietrza zapala się w cylindrze nie elektrycznie, lecz wyłącznie przez zgęszczenie powietrza, które właśnie wskutek tego zgęszczenia otrzymuje w cylindrze bardzo wysoką temperaturę. Tak samo temperatura gazów, uchodzących z cylindrów silnika ropnego, jest niższa od temperatury gazów zużytych, uchodzących z cylindrów silnika benzynowego. Otóż używając ropy w silnikach lotniczych, zwiększamy także bezpieczeństwo transportu. Ale także wyzyskanie energji ropy do wykonania pracy, t. j. do pędzenia silnika, jest większe, aniżeli wyzyskanie energji benzyny, co jest równoznaczne z tem, że z zapasem ropy możemy lecieć bez lądowania dalej, aniżeli z tak samo ciężkim zapasem benzyny.



Liny.

Liny są jedną z najważniejszych części takelunku jachtów, jak i łodzi. Są one używane kompletnie do wszystkiego i odgrywają bardzo poważną rolę na każdym kroku.

Z rozwojem żeglugi i udoskonaleniem statków, szczególnie żaglowych, liny musiały być bardziej wytrzymałe i lżejsze. To też liny stalowe są coraz to częściej stosowane.

Zasadniczo liny możemy podzielić na: 1. pakułowe, 2. manilowe, 3. stalowe, 4. sporządzone z roślin gorszego gatunku.

Pod wyrazem „pakuły" rozumiemy przerobione włókna konopi, lnu, trawy morskiej, pokrzywy i t. p.

Na okrętach wojennych i jachtach sportowych są używane liny „manilowe" — wyrabiane z włókien bananowych i kokosowych, oraz t. zw. liny „białe", wyrabiane z konopi i lnu. Do olinowania stalowego (sztagi, wanty, vaterntagi itp.) używane są liny stalowe.

Kutry rybackie, okręty handlowe itp. używają najczęściej liny tańsze — „pakułowe".

Gatunek lin i ich przeznaczenie zależy od stopnia oczyszczenia pakuł.

Liny produkuje się w sposób następujący: po wyczesaniu pakuł zwija się je w długie „nici" naz. splotami. Zwijając razem kilka takich splotów otrzymujemy t. zw. pokrętek. Dzieląc poprzednią ilość splotów na 3 części, a każdą z nich zwijając w pokrętek z osobna, następnie skręcając te pokrętki razem, otrzymujemy „warkocz".

Liny w zależności od sposobu zwijania dzielą się na pokrętkowe i warkoczowe. Jeśli lina jest zwijana z 4 pokrętek, to ma ona w środku t. zw. „duszę".

Dla lin smołowych dusza jest przepojona smołą, dla lin białych tłuszczem. Przetłuszczenie, jak również smołowanie duszy, ma na celu nieprzepuszczanie wilgoci do wewnątrz liny.

Liny białe są mocniejsze niż liny smolone, natomiast te ostatnie są bardziej trwałe. Liny wyrobu pokrętkowego znowu mocniejsze od lin warkoczowych, jednak liny warkoczowe są bardziej odporne na wilgoć.

Liny manilowe mają te zalety, że nie toną i bardzo prędko przesychają.

Liny manilowe są bardziej wytrzymałe na ciągnięcie niż białe i pomimo, że się wydłużają, nie pękają, są one jednak bardzo kosztowne.

Liny plecione używane są jako: loglinki, faty sygnałowe, grotaszkoty i t. p.

Pomiary lin. Grubość liny określa się obwodem i świadczy o jej wytrzymałości. Do obliczenia wytrzymałości liny potrzebny jest wymiar jej średnicy.

W stosunku do grubości lin dzielimy je na:

1. linki o średnicy do 1 cm.
2. liny o średnicy od 1 cm do 5 cm.
3. nadliny o średnicy od 5 cm wzwyż.

Do określenia ciężaru liny służy następująca formułka:

Waga liny w kg = 17 . d^2

gdzie d jest średnicą liny. Formułka powyższa służy do obliczania liny białej w zwoje 200 m. długości. Liny smolone są o 15% cięższe, manilowe o tyleż lżejsze. W handlu spotykamy liny w zwojach po 100 i 200 m.

Dla ścisłego określenia ciężaru lin są specjalne tablice, na podstawie których, mając długość, średnicę i gatunek, można dokładnie określić jej ciężar.

Próba wytrzymałości lin. Chcąc poznać wartość liny, należy sprawdzić jej wytrzymałość. Istnieją dwa sposoby:

1. Zważyć cały zwój liny, a uwzględniwszy jej przekrój, gatunek, długość — waga powinna odpowiadać wadze podanej w tablicach.
2. Zbadać oddzielnie wytrzymałość splotów lin. W tym celu bierzemy 2 m. liny, rozkręcamy ją na sploty i 10 takich splotów probuje się pojedyńczo w następujący sposób:

Splot zawiesza się pionowo, do dolnego końca umocowuje się talerz, który stopniowo obciąża się ciężarkami aż splot pęknie. Moment pęknięcia splotu notuje się i sprawdza się z przepisami. Z pozostałemi splotami postępuje się tak samo. Splot powinien pęknąć przy obciążeniu 80 kg dla lin manilowych, 64 kg dla lin białych i 56 kg dla lin smolonych.

Linę należy również dokładnie obejrzeć z zewnątrz i zbadać, czy lina ma wszędzie jednakową grubość, czy niema guzów, czy jest elastyczna i czy nie czuć od niej stęchlizną, zgnilizną lub spalenizną. Lina posiadająca wyżej podane braki bardzo traci na wytrzymałości.

Gremplami naz. kawałki lin, splotów i t. p., które używane są przy robotach pokładowych.

Liny stalowe. Liny stalowe wyrabia się z drutów stalowych. Druty skręca się w ten sposób, co i sploty, owijając je wkoło, przeoliwionej lub przesmołowanej duszy. Ilość splotów w pokrętkach jest różna i dochodzi do 40, w zależności od grubości liny i ilości pokrętek.

Lina stalowa musi być ocynkowana.

W. B.

---

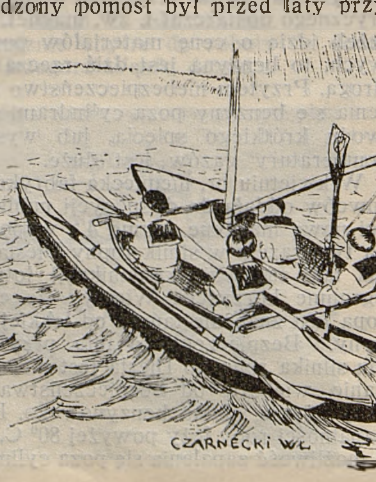
phm. St. Szymborski.

Szlakiem Dunaju.

Zbiegowisko ciekawych towarzyszy nam już od paru minut i zwiększa się z każdą chwilą. W krótkiej chwili zjawia się czeski policjant, traktując nas bardzo uprzejmie, udziela niezbędnych informacyj. Służbowi pozostają przy łodziach, zaś reszta, lepiej odziana, idzie złożyć wizytę konsulowi R. P. panu Marskiemu.

W konsulacie nie zastajemy nikogo wracamy więc zpowrotem i rozmyślamy nad położeniem. Wprowadzenie łodzi do przystani „Ruderklubu" okazuje się spóźnione, trzebaby bowiem godzinę cały holować pod prąd. Idziemy więc na kolację, a o zmroku wracamy, aby rozbić namioty i przespać noc na brzegu.

Wstajemy o piątej, aby coprędzej załadować łodzie do Hajnburga, pozostałe przeprowadzić do przystani „Hajos Egylet" na prawym brzegu. Wysłani do Hajnburga wrócili już o godz. 9 rano — możemy więc w komplecie poznać gospodarzy węgierskiej przystani, oraz jej urządzenia. Czystość i porządek wzorowy na każdym kroku. Ale niewygodnie urządzony pomost był przed laty przyczyną śmiertelnego wypadku rodaka naszego, konsula R. P. w Bratisławie. Jechał on z góry na kajaku, a prąd silny nie pozwolił mu wyminąć zbyt wysuniętego pomostu. Wciągnięty został pod pomost, aby się już więcej nie pokazać.



„Propellerem" dostaliśmy się do miasta, w celu złożenia wizyty w konsulacie. Potem poznajemy stare i nowe dzielnice miasta, składamy wizytę pewnemu studjującemu tu Polakowi, który nas z entuzjazmem wita i towarzyszy w dalszej wędrówce po mieście. Obiad jemy w „Ameryce", pierwszorzędnej restauracji. Po obiedzie, w dalszym ciągu zwiedzania oglądamy kościół koronacyjny królów węgierskich oraz zamek Marji Teresy na wielkiem wzniesieniu. Powiadano nam, że z pod tego zamku tunel pro-

Bibljoteka żeglarska.

„Jak budować kajaki jedno i dwuosobowe“, wartościowa książeczka T. Fonferki, wydana przez Wojskowy Instytut Nauk.-Wydawn., jest niezbędną dla każdego, kto pragnie sobie w tani sposób zdobyć kajak. Autor, doświadczony konstruktor, podaje dokładne wskazówki co do materjału, warsztatu i wreszcie samego sporządzania kajaku, ilustrując swoje jasne wywody bardzo przejrzystemi rysunkami.

„Kajakami na szlaku wodnym“ pióra Witolda Bublewskiego, to książeczka, bez której nie zabieraj się do organizowania żadnej wodnej wycieczki! Doskonałe, jasne wskazówki, dotyczące celu wędrówki, sporządzania jej kosztorysu, wyboru marszruty, dopełnienia formalności paszportowych, wyposażenia wycieczki itd. dają podstawę do wszelkich przygotowań, zaś rozdział „Na szlaku“ daje niezbędne wiadomości o niebezpieczeństwach i trudnościach, jakie podróżującym mogą spotkać, podaje znaki i sygnały wodne, oraz inne niezbędne informacje. Najważniejsze, że cała książeczka owiana jest prawdziwie harcerskim duchem, dzięki czemu zasługuje na jak najsilniejsze polecenie. — Do nabycia w Głównej Księgarni Wojskowej w Warszawie. **K.**

*

Nakładem Wojskowego Instytutu Naukowo Wydawniczego w bardzo estetycznej szacie, wydana została książka p. t. **„Sam jeden żaglowcem naokoło świata“**, która w formie pamiętników napisana została przez Slocuma i przetłumaczona na polski język.

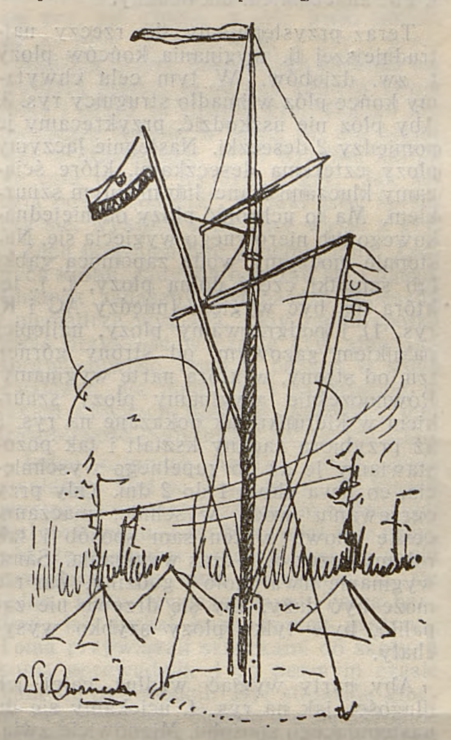
Autor opisuje życie na swoim statku „Spray“, swe pełne przygód i emocji chwile na wzburzonym oceanie, dalekich morzach i lądach.

Slocum był pierwszym ze znanych nam żeglarzy, który w latach 1895—1908 odważył się na małym wielorybniczym jachcie przemierzyć ziemską kulę.

Książka Slocuma stanowi literaturę zdrową, godną zlecenia naszej młodzieży, a specjalnie drużynom żeglarskim, gdyż czytelnik dużo może w niej znaleźć technicznych uwag i rad.

M. Zaruski. Na pokładzie „Iskry“ i Moja Czwarta podróż na Witeziu. Książeczki te mile wydane, są godne polecenia do bibljoteczek żeglarskich drużyn.

Generał Marjusz Zaruski — znany polski żeglarz, opisuje swe podróże, a pierwsza z nich dotyczy żeglugi na szkolnym statku Marynarki Wojennej „Iskra“. Druga, to wycieczka na jachcie Witeź, z Gdyni do Malmö i Kopenhagi. **W. B**



Budowa kajaka!

W 4 — 6 Nr. z roku 1930 „Na Tropie“ podaje szczegółowe wskazówki, ilustrowane doskonałemi, przejrzystemi rycinami, na podstawie których każdy może sobie sam zbudować kajak.

Kronika morska.

Podróż „Junaka“. Dobrze znany harcerzom „Junak“, odbył ciekawą jednomiesięczną podróż z Gdyni do Rönne, Brunshüttel, Calais, Londyn, Amsterdam, Terschelling, Newo — Gdynia. Kapitanem jachtu w czasie tego pływania był komandor Filanowicz.

Pierwszy statek sanitarny. Stocznia Gdyńska opuściła na wodę „Samarytankę“ — statek przeznaczony do służby sanitarnej w porcie gdyńskim. Statek ten wybudowany całkowicie z polskich materjałów zaopatrzony został w 66-konny motor. Wyporność „Samarytanki“ wynosi 28 t., długość 15,5 m., szerokość 3.75 m., wysokość 2.5 m., zanurzenie 1,7 m.

„Kościuszko“ w Bostonie. Transatlantycki parowiec „Kościuszko“, należący do linji Gdynia—Ameryka, wracając z Nowego Jorku do Gdyni, zawinął w dniu 19 września br. do Bostonu.

Zjawienie się **po raz pierwszy** w tym porcie bandery polskiej owacyjnie przyjęto przez miejscową Polonię, która tłumnie powitała przybycie tego okrętu.

Stan wojennej floty polskiej. Marynarka wojenna Polski składa się obecnie z następujących jednostek bojowych: 2 kontrtorpedowców — „Wicher“ i „Burza“, o wyporności 3.080 t., 3 łodzi podwodnych — „Ryś“, „Żbik“ i „Wilk“ o wyporności 2.940 t., 5 torpedowców, 2 kanonierek, 4 poławiaczy min, 1 okrętu hydrograficznego, 1 transportowca, 1 żaglowca szkolnego („Iskra“), 6 monitorów rzecznych, 8 rzecznych łodzi patrolowych oraz starego okrętu, służącego jako pływające koszary (Bałtyk). **W.**

WIZYTACJA. Kierownik Drużyn Żeglarskich dnia 7. 10. br. wizytował Żeglarską Drużynę w Przemyślu.

KSIĄŻKI DO BIBLJOTEK DRUŻYN. Wszystkie drużyny, które w terminie nadesłały do G. K. M. sprawozdanie z akcji letniej, otrzymały do bibljotek po 5 książeczek, dotyczących zagadnień morza i sportu wodnego.

„HARCERSKI REGULAMIN FLAGOWY“ został opracowany i będzie wkrótce podany do ogólnej wiadomości.

---

wadzi do innego, znajdującego się po drugiej stronie Dunaju. W porze wieczornej wciągnęli się w nasze towarzystwo dwaj młodzi Słowacy, niezwykle serdecznie do nas usposobieni. Ich słowa, zapisane w naszej kronice, pozostaną dla nas na zawsze wyrazem szczerej przyjaźni. Na nocleg udajemy się do gmachu YMCA, gdzie łóżka czekają na nas zawczasu przygotowane. Po drodze spotykamy czeskich skautów wodnych. Nazajutrz budzi nas jeden z naszych znajomych Słowaków. Po śniadaniu raźno udajemy się z wizytą do skautów czeskich. Ich rezydencja mieści się we wspaniałym gmachu, ofiarowanym przez hrabiego austrjackiego — dawna kaplica mahometańska z zachowaną jeszcze miednicą do ablucji.

Skauci wodni prowadzą tu pracę na szeroką skalę, mają też dobrze postawione warsztaty „canoe“ i innych typów łodzi. Mieliśmy więc możność prowadzenia interesującej rozmowy na temat organizacji pracy w warsztatach, szczegółów wykonania itp.

W sali głównej następuje wymiana znak, obustronne wpisanie się do kronik i swojskie okrzyki. Od tej chwili skauci czescy też nam towarzyszą w spacerach po mieście. Już pod wieczór przyjeżdżamy do przystani w towarzystwie zwiększonem o fotografa, który ma zrobić zdjęcie na życzenie gospodarzy.

O godzinie 6-tej odbijamy od brzegu, unosząc z sobą uczucia głębokiej sympatji dla miłych rodaków i gospodarzy.

Musimy ciężko pracować, aby wyciągnąć normalne tempo przeciw wiatrowi i ostrej, krótkiej fali, opryskującej nam ręce i twarze. Późnym wieczorem zatrzymujemy się na czeskim brzegu, łodzie wyciągamy na ląd, sami kładziemy się do snu pod namiotami.

Tu jest pora rzucić kilka uwag o organizacji życia obozowego, ponieważ wiele szczegółów wprowadziło się dopiero w drodze, w praktyce, w bezpośredniem zetknięciu ze „szlakiem“.

Obóz składał się z komendanta i sześciu uczestników; zastępcy oficjalnego niema, w razie potrzeby wyznacza się go ad hoc.

Są tylko dwie stałe funkcje: szafarz, odpowiadający oboźnemu w obozach harcerskich stałych, oraz kronikarz. Wszelkie czynności obozowe wykonują służbowi, wyznaczani kolejno po dwóch na dobę. Na łodzi służbowej znajdują się naczynia kuchenne, prowiantem obciąża się równomiernie wszystkie łodzie. Służbowi pilnują łodzi, gdy reszta kąpie się, odpoczywa, lub zwiedza. Ze względu na okoliczność zwiedzania wyznaczenie dwóch służbowych jest bardzo wygodne, bo i oni również w oglądaniu mogą brać udział, zmieniając się wedle ich wygody. Oni przygotowują posiłek gotowany, myją naczynia, wykonują mniejsze naprawy (kanadyjki, oklejone płótnem trzeba pieczołowicie doglądać codzień, wszelkie zadraśnięcia natychmiast naprawiać). Służba kończy się z chwilą, gdy nowi służbowi zostają zbudzeni. Dzieje się to na pół godziny przed pobudką ogólną, aby nowi służbowi mogli przygotować gorące śniadanie. Warty nocne pełnili wszyscy, kolejność zmian uzależniona była od kwalifikacyj fizycznych. (C. d. n.)

Zrób sobie sam narty.

(Ciąg dalszy.)

Płozy.

Po przygotowaniu narzędzi i deski, pierwszą czynnością będzie rozmieszczenie i dokładne wyrysowanie na desce kształtów nart, jednej obok drugiej. Wymiary podane na rys 1 odnoszą się do długości narty — 190 cm. w razie więc wybrania większej czy też mniejszej długości nart należy inne wymiary odpowiednio nieco zwiększyć lub zmniejszyć.

Po wyrysowaniu na desce kształtów nart według rys. 1, wycinamy narty przy pomocy piłki krzywicy, przyczem uważać trzeba, aby potrzebnych części nie uszkodzić. Następnie wyrównujemy i gładzimy części narty i z kolei wycinamy piłką krzywicą profil narty tak, jak to wskazuje rys. 2, według podanych wymiarów. Z rysunku tego widzimy, że płoza (narta bez wiązania) jest cieńsza na końcu swoim i w przedniej swej części w miejscu, gdzie się płoza wygina.

Po wygładzeniu weźmiemy się do wystrugania i wygładzenia wszystkich powierzchni. W miejscach więcej wklęsłych strugamy w kierunku poprzecznym t. j. prostopadle do słoji. Grzbieciki NP i LM nie są konieczne, powierzchnia EFGH może bowiem łagodnie przechodzić w górne powierzchnie płozy. Gdy je jednak chcemy mieć, robimy je zbierając krawędzie narty strugiem półokrągłym a następnie gładzimy skrobaczką, lub w braku tejże półokrągłym kawałkiem szkła.

Powierzchnia EFGH pozostaje zupełnie równa i równoległa do podstawy. Po wygładzeniu ścian bocznych bierzemy się do wystrugania rowka na powierzchni ślizgowej płozy. Uskuteczniamy to zapomocą struga wskazanego na rys. 1 w poprzednim numerze N. Tr. Rowek ten rozpoczyna się od miejsca wygięcia dzioba tj. mniej więcej od miejsca oznaczonego AC na rys. 1 i biegnie do końca płozy. Trzeba przytem uważać, aby rowek był równy i bez zadziorów; szerokość jego wynosi 1 cm, głębokość około ½ cm. W końcu wygładzamy płozy starannie szklanym papierem ewentualnie możemy obrysować brzegi płozy t. zw. znacznikiem dla ozdoby.

Teraz przystępujemy do rzeczy najtrudniejszej tj. wyginania końców płozy t. zw. dziobów. W tym celu chwytamy końce płóz w imadło strugnicy rys. 3. Aby płóz nie uszkodzić, przykręcamy je pomiędzy 2 deseczki. Następnie łączymy płozy czterema deseczkami, które ściągamy kluczami franc. lub mocnym sznurkiem. Ma to uchronić płozy od niejednakowego lub nierównego wygięcia się. Następnie moczymy wodą zapomocą gąbki lub szmatki część dolną płozy, t. j. tę, która ma być wygięta (między AC i K, rys. 1) i podgrzewamy płozy, najlepiej palnikiem gazowym, od strony górnej, tzn. od strony, w którą nartę wyginamy. Równocześnie wyginamy płozy sznurkiem w kierunku jak pokazane na rys. 3 aż przybiorą żądany kształt i tak pozostawiamy je aż do zupełnego wyschnięcia, co trwa około 1 do 2 dni. Gdy przy ogrzewaniu woda wyschnie, maczamy deskę znowu w ten sam sposób i tak robimy przez cały czas wyginania. Samo wyginanie trwa około 1 godziny. Żar nie może być duży, aby się drzewo nie zapaliło, byle tylko płozy szybko wysychały.

Aby narty wygiąć wzdłuż całej ich długości, jak na rys. 4, uciekamy się do następującego sposobu. Mianowicie związujemy narty silnie na ich końcu i w miejscu wygięcia dzioba (rys. 5) rozpychamy je zapomocą klocka drewnianego lub deseczek. Rozepchanie to winno wynosić 8 do 10 cm. Równocześnie rozpychamy, podobnie dzioby nart zapomocą deseczki wyciętej według rys. 6, długość jej wynosi około 22—26 cm. Z tak założonemi deseczkami muszą pozostać narty przez kilkanaście dni, aż osiągną pożądane wygięcie. W ten sam sposób powinno się narty stale przechowywać, gdy się ich nie używa, aby nie straciły formy.

Jeżeli nie posiadamy do dyspozycji stołu stolarskiego, to możemy wygiąć narty, umieszczając je między dwie grube, ściągnięte ze sobą poprzeczkami (rys. 7e)) deski, gdzie przewijamy płozy pomiędzy odpowiednio umieszczonemi klockami f i tak pozostawiamy je przez 10 do 15 dni, aż przybiorą wymagany kształt.

W braku takich desek, możemy sobie jeszcze poradzić w ten sposób, że ułożymy płozy na równej podłodze czy ziemi i podłożymy pod nie w środku, gdzie mają być wygięte deseczki a końce nart obciążamy silnie jakiemi ciężarami (kamienie, paki i t. p.), lub przymocowujemy listwami do podłogi.

Jeżeli zależy nam na czasie, to możemy użyć do wyginania nart tego samego sposobu co do wyginania dziobów tj. podgrzewania. Ale jest to robota trudna i lepiej uzyskać wygięcie zapomocą rozpychania. Zresztą Wasz spryt i pomysłowość najlepiej Wam w tem pomogą.

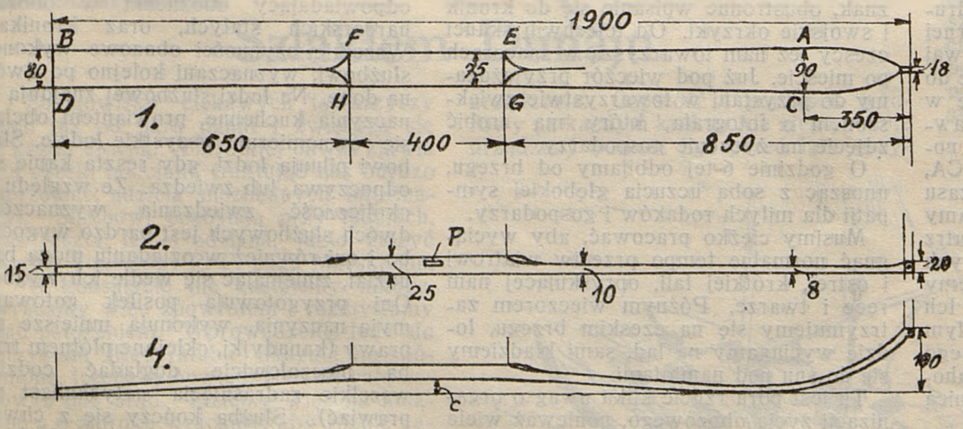
Wygięcie narty w środku (rys. 4, c) winno być tak duże, że gdy się stanie na niej, wtedy powinna ona przylegać do ziemi na całej dolnej powierzchni, lecz nie opierać się na niej. Wygięcie to wynosi około 1.5 cm.

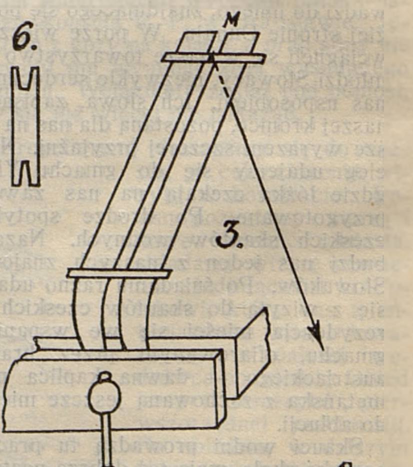
Po wygięciu płóz, wygładzamy jeszcze raz dobrze powierzchnię ślizgową pumeksem i pociągamy je po stronie górnej, po bokach i pod dziobem 2 razy politurą lub pokostem, co zapobiega nalepianiu się śniegu z wierzchu nart.

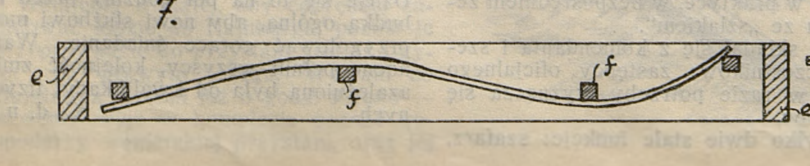
Płozy należy pociągnąć najpierw pokostem a następnie po wyschnięciu smarujemy je zapomocą pendzla tzw. matiną (roztwór spirytusowy szelaku), którą kupujemy za parę groszy. C. d. n.

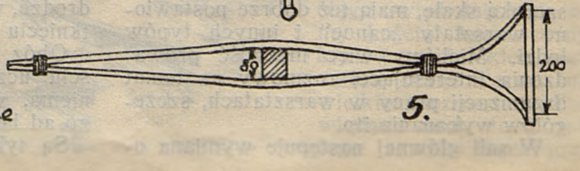
*

Sprostowanie. W poprzednim numerze zaszła pomyłka. Zdanie: „Na parę nart potrzebna jest deska... szerokości 2 cm", ma brzmieć: „szerokości 20 cm".









Na Tropie Zuchów.

Jak można walczyć z samym sobą.

Prawo zuchów mówi: „Zuch jest nieustępliwy wobec samego siebie“.

Więc jest tak: kogoś mocno uderzyły w głowę drzwi i wyskoczył guz. Miejsce uderzone strasznie szczypie i boli i chce się tak bardzo płakać, że same usta krzywią się jak podkowa. I wtedy mamusiny synek zaczyna beczeć, ale jeżeli to jest zuch, to nie ustąpi swemu bólowi, sprzeciwi się chęci płaczu i tylko weźmie kawałek szkła albo żelaza, a najlepiej mokrą chusteczkę i przyłoży sobie do bolącego miejsca. Od takiego zimnego okładu mniej boli uderzenie i guz wyskakuje mniejszy. Z tego wszystkiego wyszło, że zuch zwalczył samego siebie.

Jest w Polsce jeden harcerz, który się nazywa Tyszka. Ten harcerz opowiadał mi, że jechał raz kolejką podmiejską z pewnym zuchem i wydarzyło się wtedy straszne nieszczęście: mały chłopiec wpadł pod pociąg i odcięło mu kołami nogi. Odrazu zatrzymano kolejkę, zebrał się ogromny tłum i wszyscy z przerażeniem patrzyli na nieszczęśliwego chłopca. A ten, blady jak płótno, uśmiechnął się do ludzi i do swego drużynowego i tylko mówił: „To nic, to nic...“ Mnie się zdaje, że ten zuch był bohaterem, bo strasznie dzielnie zwalczył samego siebie.

Chłopcy mają jedno brzydkie przyzwyczajenie: przezywają jedni drugich. Jak kto jest chudy, to go przezywają „Patyk“. Jak ma nazwisko Świnkiewicz, to go przezywają „Świnia“. Jak się boi skakać przez kolegę — to go przezywają „Baba“. Czasami przezwiska są bardzo śmieszne; w pewnej klasie chłopcy bardzo lubili czytać książki Maya i jednego kolegę, który na wszystkich pluł, przezwano „Ab el Ślinik ibu Pluik“, a innego nazywano po indyjsku Czerwoną Skarpetką.

Przezwiska są czasami potrzebne. Bo łatwiej krzyknąć „Wrona“ albo „Patyk“ niż naprzykład „Szczęścikiewicz“ albo „Jasiek“. Bo tyle tych Jaśków jest, że nie wiadomo kogo wołają. I niektórzy chłopcy lubią jak ich wołać po przezwisku. Ale bardzo dużo chłopców nie lubi swoich przezwisk, gniewa się na nie i czasami nawet płacze ze zmartwienia. Bo co za przyjemność słuchać „Zezul“, jak się ma krzywe oczy, albo „Garbus“, albo „Magnes“ jak się raz zdarzyło wziąść cudzą rzecz.

I właśnie zuch nie ma prawa używać takich przezwisk, które innych smucą. Musi zwalczyć samego siebie. Choćby przezwisko było śmieszne, choćby język strasznie świerzbił — nie wolno! Nawet szeptem; Jeżeli ktoś lubi, jak go przezywają — przezywajcie, a jeżeli przezwisko boli — broń Boże!

Albo jeszcze inny przykład: wiadomo, że zuch nie powinien obrażać się w czasie gry, ani kłócić. A jest wielu takich, co za byle co wychodzą z gry i przeszkadzają innym. Jak takiego złośnika nie wybiorą matką, to odrazu zabiera swoją piłkę i przez to rozbija grę. Jak go kto niechcący kopnie w nogę, bo źle ucelował w szmaciankę, — to wrzasku narobi na całą ulicę i wyjdzie z gry. Jak sędzia powie „odejdź“, to taki gość sprzecza się, wykłóca i nie chce wyjść z gry.

Zuch powinien być zupełnie inny. Żadnych kłótni, żadnych odrażań się i dąsań. Chłopak zadąsany jest bardzo śmieszny i niemądrze wygląda. Gdy zucha spotka jakaś przykrość w czasie gry, albo niesprawiedliwość, musi ją odrazu w sobie zwalczyć, nie uledz jej i naumyślnie w takich chwilach udawać wesołość, nierasobliwość. Niby nigdy nic się nie stało.

Jeden człowiek bardzo umiał siebie zwalczać. Był to Tom Miks. W kinach występuje on razem ze swoim cudownym białym koniem. Tom Miks miał tyle przygód, że możnaby o nich mówić na wielu gawędach. Ale mnie przypomniała się jedna. Razu pewnego złapali Toma bandyci, jak jechał konno przez pustynię. Toma przywiązali sznurkami do skały, a konia uprowadzili. I po pewnym czasie Tom się oswobodził. Był strasznie głodny, wyczerpany i chciało mu się okropnie wracać do miasta. Ale pomyślał o swoim koniu i choć się bał licznych bandytów, choć było bardzo zimno, a nogi pod nim drżały ze znużenia — zwalczył samego siebie i powlókł się na pustynię, śladami jeźdźców, aby wyswobodzić przyjaciela. Wprost trudno powiedzieć, ile wycierpiał i cały czas strasznie mu się chciało przerwać szukanie i wrócić, ale się przemógł, zwalczył siebie i szedł naprzód, aż po wielu przygodach trafił na obóz wrogów, cicho uprowadził konia i wrócił na nim do miasta, aby zaalarmować policję.

Zuchy! Walczcie ze sobą, gdy się chce robić coś nieładnego, albo niezuchowego! Bądźcie nieustępliwi wobec swoich zachcianek! Starajcie się naśladować Toma Miksa w dzielności i nieustępliwości.

Bambaju.

Dwie gry z drzwiami.

Zadanie gry **„Bez skrzypnięcia“** jest takie: w pokoju leży chora matka, bardzo ciężko chora. Najmniejszy hałas ją denerwuje. Trzeba tak cicho otworzyć i zamknąć drzwi, żeby tego wrażliwa matka wcale nie słyszała.

Szóstka, która się bawi w tę grę, musi przynieść ze sobą trochę oliwy, albo jakiego tłuszczu, unieść zlekka drzwi na zawiasach i posmarować te zawiasy. Nasmarowanie zawiasów wcale nie jest rzeczą łatwą, ale dlatego właśnie jesteście zuchami, żeby się uczyć różnych ważnych umiejętności. Jak już drzwi nasmarowano, jeden z zuchów zostaje w pokoju jako chora matka i musi stanąć jak najdalej od drzwi. Tylko mu się zawiązuje oczy, żeby nic nie widział. Reszta zuchów pokolei wchodzi do pokoju z jaknajwiększemi ostrożnościami otwierając i zamykając drzwi. Kto tego dokona nie będąc usłyszanym — wygrywa.

„Ucieczka z pułapki“ ma tło dramatyczne. Nieprzyjaciel złapał jeńców i zamknął ich w pokoju. Przez nieostrożność nie zamknięto jednak zupełnie drzwi i zostawiono je otwarte. W drugim pokoju siedzi wartownik, ale nie patrzy na drzwi, tylko w okno, interesując się tem, co się dzieje na podwórzu. Trzeba tak cicho przejść przez pokój wartownika, żeby tego zupełnie nie słyszał. Kto to zrobi — jest ocalony.

B.



Taniec zbójnicki.

Taniec jest bardzo ważną częścią zbiórek zuchowych. **Nie powinno być ani jednej zbiórki bez tańca!**

Ale co i jak tańczyć?

Jeden taniec, „Karuzela“, został już opisany w Nr. 13 „Na Tropie“. Ten, co dziś opiszę, „Zbójnicki“, jest może najładniejszym ze wszystkich zuchowych tańców, i do tego bardzo łatwy. Powinniście go tańczyć na wszystkich większych zbiórkach i zlotach. To musi być narodowy taniec zuchów!

Wymyślili go górale tatrzańscy, zbójnicy. Tylko że górale tańczą różne trudne figury, a zuchy — tylko łatwe. Ale do tańca śpiewa się tę samą, prawdziwą zbójnicką piosenkę:

W murowanej piwnicy
Tańcowali zbójnicy,
Kazali se piknie grać
I na nóżki spozierać.
    Baca, baca, baca nas,
    Dobrych chłopców na zbój mas,
    Jesce byś ich lepsych mioł
    Kiebyś im syra doł.
Tańcowałbyk kiebyk móg,
Kiebyk nie mioł krzywych nóg.
A ze krzywe nóżki mom
Co podskoce to sie gnom.

Do tańca wszyscy stają w wielkie koło i robią zwrot w prawo tak, aby patrzeć na plecy poprzednika. Przy pierwszej zwrotce posuwają się wszyscy w kole, robiąc nogami, na trzy takty, takie kroki, jak w krakowiaku. Więc na „raz“ — wysuwa się daleko naprzód lewą nogę, na „dwa“ — przysuwa się prawą do wysokości pięty lewej nogi, na „trzy“ lewa noga robi malutki kroczek naprzód. A dalej — to samo — tylko zaczyna prawa noga: „raz“ — prawa daleko naprzód, „dwa“ — lewa się dosuwa, „trzy“ — prawa trochę w przód. Zrozumieliście? No, przerwijcie czytanie i spróbujcie sami, nucąc zbójnicką piosenkę. Tylko starajcie się nie zginać kolan, kroczyć poważnie, jak ważni górale i prawą ręką wywijać w górze, w takt piosenki.

Potem zaczyna się (przy drugiej zwrotce) druga część tańca. Wszyscy zatrzymują się, zwracają twarzami do środka, ręce kładą na biodra i zaczynają na trzy takty, w takt piosenki, robić przysiady. Na „raz“ — podskakuje się do rozkroku i staje na piętach, na „dwa“ — podskakując, łączy się pięty i robi się przysiad na palcach, na trzy — podnosi się z przysiadu i staje na całe stopy. I znów „raz“ — rozkrok: na pięty etc.!

Taniec posiada tylko dwie części, które się kolejno zmieniają przy zwrotkach. Nie należy go tańczyć zbyt długo, bo potem bolą uda i łydki.

K.

16-stka Warszawska w Szwecji.

Lato ubiegłe przyniosło Harcerstwu szereg imprez zagranicznych, do których należy również udział 16. dr. Warszawskiej na Zlocie skautów szwedzkich. Drużyna ta reprezentowała już barwy polskie na zlocie łotewskim w 1928 r.

Przed wyjazdem zagranicę, drużyna nasza obozowała nad morzem pod Karwią, skąd 18. 7. wyruszyło 28 harcerzy pod komendą dha Wierzbowskiego do Gdyni. Okręt „Polonja" przewiózł nas do Kopenhagi, gdzie oczekiwał nas przedstawiciel poselstwa polskiego, oraz dwaj skauci duńscy, którzy nie opuścili nas aż do chwili odjazdu. Jeden z nich zaprosił całą drużynę na śniadanie do swych rodziców, gdzie zostaliśmy przyjęci ze wzruszającą gościnnością — nie zapomniano nawet o polskich proporczykach na stole.

Zwiedziwszy Kopenhagę, wsiedliśmy do pociągu, który został promem przewieziony na ziemię szwedzką. Na miejsce zlotu przewiozły nas z miejscowości Hälsingborg autobusy.

Na olbrzymiej polanie, terasowato spadającej ku morzu, rozłożyły się obozy zlotowe, złożone z niezliczonych, białych namiotów. Oprócz gospodarzy, w obozie tym znajdowali się przedstawiciele siedmiu narodowości.

Przy wejściu do obozu, czekała nas niespodzianka w postaci konieczności zapłacenia wstępów. Nie można Szwedom odmówić zmysłu praktycznego! Niemiłe wrażenie zatarło się jednak w części, gdy ujrzeliśmy napis „Vitamy". Nie uniknięto w nim małego błędu, niemniej był wyrazem serdeczności, z jaką nas przyjęto.

Wejście nasze na teren obozu wywołało małą sensację. Zostaliśmy natychmiast otoczeni wielojęzycznym tłumem, który podziwiał naszą dziarską postawę. Ponieważ dzień ten był według programu przeznaczony na wzajemne odwiedzanie się, złożyliśmy szereg wizyt. Najserdeczniej witaliśmy się z Węgrami, z którymi łączy 16-stkę stała sympatja od czasów zlotu łotewskiego. U nich też zostaliśmy na wieczornem ognisku, popisując się polskiemi pieśniami ludowemi i harcerskiemi, które wywołały żywy poklask słuchaczów. Nastrój przy ognisku był niezwykle serdeczny. Przed końcem komendant Węgrów, pragnąc dać wyraz swoich braterskich uczuć, odpiął od kapelusza białą kitkę, noszoną przez wszystkich skautów węgierskich i wręczył ją naszemu komendantowi. Była to chwila naprawdę wzruszająca.

Przez cały czas zwiedzania obozów, chodziły za nami chmary skautów i skaucików, zbierających autografy. Zwłaszcza redaktor „Sulimczyka" — pisma 16-stki oblęgany był natarczywie. Rozdawał on chętnie na lewo i prawo kartki z pieczątką redakcyjną.

Nawet kierownictwo Zlotu zbierało autografy — na wielkiej, wilczej skórze. Z zachowaniem należytego ceremonjału podpisywały się tam różne wielkie figury, między innemi został tam również uwieczniony podpis naszego komendanta.

Nie zapominając o propagandzie, rozdawaliśmy wśród skautów przywiezione w tym celu specjalne wydawnictwa o Polsce w obcych językach.

Rozkład jazdy okrętów pozwolił nam niestety zostać jedynie przez dzień na terenie Zlotu. Opuszczaliśmy Kulla Gunnarstorp z żalem — choć pełni zadowolenia, płynącego z poczucia, że dobrze spełniliśmy swój zaszczytny obowiązek reprezentowania Polski i Harcerstwa wśród obcych. **G. Radwański.**



Ogólny widok obozu zlotowego. Na jego tle główne wejście, z przechodzącymi przez nie Polakami.

Wiadomości zuchowe.

Wzory oznak sprawności zuchowych zostaną wydrukowane w listopadowym numerze „Harcmistrza". Regulaminy nowych prób i sprawności zuchowych zostały już wydane w numerze październikowym.

„Skrzydła" — miesięcznik instruktorek harcerskich sporo uwagi poświęca zuchom. W numerze październikowo-listopadowym (10—11) druhna Z. Wolowska napisała artykuł: „W sprawie kierunku pracy zuchowej". W artykule tym udziela instruktorom zuchowym następujących rad: „Za najważniejsze uważam dostarczenie w zajęciach i zabawach zuchowych odpowiedniego do wieku stopnia trudności i istotnej, rozwijającej treści. Zajęcia muszą być tak dobrane, by zwalczały bezmyślność, powierzchowność i zmuszały do wysiłku. **W gromadzie o różnym wieku niezbędnem jest stosowanie się do dzieci starszych**". A dalej: „Program pracy powinien zawierać o wiele więcej wycieczek, gier ruchliwych, ćwicze zręczności i inteligencji." „Należy zerwać z przyjmowaniem do gromady wszystkich dzieci. Selekcja jest nieodzowna." „Odróżnić trzeba pracę zuchową od pracy szkolnej. Im mniej atmosfery „klasowej" na zbiórce — tem lepiej".

Kursy dla Instruktorów Zuchowych w czasie nadchodzących wakacyj zorganizuje kilka komend Chorągwi. Tak mówiono na odprawie komendantów Chorągwi 4 października rb.

Na harcerskim szlaku.

NAD STOCHODEM w Wielkim Obzyrze przyjmowano harcerki z III. Król.-Huckiej nadzwyczaj gościnnie. Ludność białoruska interesowała się bardzo życiem obozu, podczas zaś wizyty we wsi podejmował harcerki wójt wraz ze swoimi urzędnikami, częstował je i przewoził przez Stochód łódkami. Ze swego pobytu na drugim końcu Polski Ślązaczki wywiozły jak najmilsze wspomnienia. (H. S.)

SZTANDAR, POSZARPANY KULAMI niemieckiemi w r. 1918, jest w posiadaniu drużyny z Kościana. Na sztandar ten harcerze z Kościana i okolicy składają przyrzeczenie (Sp.)

WIEJSKA DRUŻYNA w Granowie, założona jesienią 1930 roku, pragnie zapewnić wszystkich czytelników „Na Tropie", że rozwija się jak najpomyślniej, w czem wybitnie dopomaga jej Koło Przyjaciół z panem Gutschem na czele. (Sp.)

MODELE SZYBOWCÓW, wykonane przez drużynę w Wodzisławiu osiągnęły w swych lotach 110 m. Obecnie drużyna ta wykonała już jeden szybowiec. Odbyto na nim próbny lot — z dachu na ziemię. „Szybującym" harcerzom życzymy powodzenia!

Prenumerata „Na Tropie": z przesyłką pocztową rocznie 6 zł., półrocznie 3 zł., kwartalnie 1,80 zł., miesięcznie 80 gr. Cena numeru 8-stronnicowego 30 groszy, numeru 16-stronnicowego 50 groszy. Należytość za prenumeratę należy uiszczać z góry. W braku pisemnego zawiadomienia prenumerata obowiązuje nadal. W sprawie ogłoszeń należy zwracać się do Administracji. **Adres Redakcji i Administracji: Katowice, ul. Szafranka „Domek Harcerski". Konto w P. K. O. Katowice Nr. 305 330.**

W skład Komitetu Redakcyjnego wchodzą: Olga Grzbielowa Marja Kapiszewska, Zofja Tworkowska, Jadwiga Laszczka-Wierzbiańska, Witold Bublewski, Jan Grzbiela, Henryk Kapiszewski, Marjan Wierzbiański.

Wydawca: Zarząd Oddziału Śląskiego Związku Harcerstwa Polskiego. Redaktor odpow.: Henryk Kapiszewski.
Odbito w Drukarni Śląskiej Sp. z o. o., Katowice, narożnik ul. Batorego 2 i ul. Kościuszki nr. 15.

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.